

Izabella Klebańska

TAK JEST, CHEF!

Ilustracje Hubert Grajczak



Sam zobacz



Izabella Klebańska
Tak jest, *chef!*

© by Izabella Klebańska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Hubert Grajczak

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2024
ISBN 978-83-8208-263-0

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

– Symek, a tata leży na podłodze.
– I co z tego? – wzruszyłem ramionami.
– Ale on tak dziwnie leży. Leży i nic nie mówi – powtórzył
zmartwionym głosem mój brat.

– Może medytuje? Przecież wiesz, że nie wolno mu przeszkadzać – zniecierpliwiłem się.

Odkąd pamiętam, byłem upominany, żeby nie wchodzić do gabinetu, kiedy Ksawery komponuje. Zenio ignorował ten zakaz całkowicie i zawsze uchodziło mu to płazem. Może dlatego, że był prawdziwym synem taty, a ja nie? Mama mnie urodziła, zanim go poznała i wyszła za niego za mąż. Być może do tej pory nic bym o tym nie wiedział, gdyby nie babcia, która nigdy nie wybaczyła mamie nieślubnego dziecka. Oczywiście nie powiedziała mi tego wprost. Zwyczajnie, przez przypadek usłyszałem fragment kłótni.

– Wstydu mi narobiłaś na całą wieś – syczała. – W kościele nie mam się co pokazywać.

– Przecież to mój grzech, nie twój – odpowiedziała cicho moja mama.

– A żebyś wiedziała, że grzech! – babcia podniosła głos. – Taka byłam z ciebie dumna. Córka studentka. Pierwsza w rodzinie. I co? Córka zamiast dyplomu przywiozła ze studiów bękarta.

– Co to jest bękart? – spytałem, zdradzając swoją obecność. Byłem niewiele starszy od Zenia i bardzo lubiłem się chować.

Babcia zrobiła się purpurowa, a mama poprosiła, żebym wyszedł. To była ostatnia wizyta babci Krystyny w naszym domu. Po jej wyjściu mama opowiedziała mi w skrócie historię mojego przyjścia na świat. Wyjaśniła wszystko oprócz tego, kto naprawdę jest moim ojcem.

– Ksawery cię kocha i jest jedynym tatą, jakiego masz – odparła, gdy próbowałem się dowiedzieć.

– ...On wcale się nie me... duje – wyrwał mnie z zamyślenia natarczywy głos brata. – Ma zamknięte ocy i sapie. Symek! – Zenio pociągnął mnie za rękaw – Sam zobac.

Zaintrygował mnie, więc poszedłem za nim. W drzwiach gabinetu zmarłem. Stołek przy fortepianie był przewrócony, kartki papieru nutowego walały się po podłodze, a między nimi leżał nieruchomo Ksawery.

– Pomóż mi poszukać komórki taty – poprosiłem.

– Co mu jest? – spytał płaczliwie Zenio. – Tato! – kucnął obok Ksawerego i zaczął go szarpać za ramię.

– Przestań! – krzyknąłem. – Poszukaj komórki.

W odpowiedzi mały rozbeczał się na dobre. Na szczęście w tym momencie zobaczyłem telefon. Wybrałem sto dwanaście i niecierpliwie czekałem, aż ktoś odbierze.

– Ratownictwo medyczne – usłyszałem energiczny męski głos. – Dyspozytor medyczny numer 180. W czym mogę pomóc?

– Tata leży na podłodze – wykrztusiłem.

– Jest przytomny?

– Chyba nie – odparłem niepewnie.

– Oddycha?

Nachyliłem się nad tatą i usłyszałem cichy szmer.

– Oddycha – potwierdziłem.

– Dobrze. Czy twój tata na coś choruje? Cukrzycę, serce...

– Nie.... – zawahałem się. – Chyba jest zdrowy.

– Jak twój tata się nazywa?

– Ksawery Walicki.

– Ile ma lat?

– Pięćdziesiąt jeden – wiedziałem dokładnie tylko dlatego, że w ubiegłym roku pomagałem mamie w przygotowaniach do przyjęcia niespodzianki z okazji pięćdziesiątych urodzin taty.

– Jesteś sam w domu?

– Z bratem, ale on ma cztery lata.

– Podaj adres. Jak się rozłączymy, zadzwoń po kogoś dorosłego, kto się wami zajmie.

Karetka przyjechała na krótko zanim zjawiała się mama.

– Co się stało? – dopytywała, gdy tylko wpadła do mieszkania.

– Podejrzanie zawału – odparł ratownik ubrany w pomarańczowo-czarny mundur. – Zabieramy męża do szpitala i tam będziemy mogli potwierdzić diagnozę.

– Pojadę za wami. Tylko sprawdzę, czy sąsiadka zajmie się chłopcami.

– Oczywiście – odparł ratownik.

– Siku – wciął się nagle Zenio.

– Idź z nim – mama spojrzała na mnie błagalnie.

– Ja? – jęknąłem.

– Muszę wejść do pani Marii i...

– Siku! – powtórzył już głośniej Zenio. Widać było, że sprawa jest pilna.

– Ja pójdę do pani Marii! – zawołałem i wybiegłem z mieszkania.

Pani Maria była emerytowaną nauczycielką i sąsiadką z tego samego piętra. Otworzyła drzwi, ledwo dotknąłem dzwonka.

– Co się u was stało, Szymuś? – spytała zaciekawiona.

– Tatę zabierają do szpitala – wysapałem. – Mama musi z nim jechać i...

– Oczywiście, że się wami zajmę – weszła mi w słowo. – Powiedz mamie, żeby się nie martwiła.

Kiedy wróciłem, mama usiłowała uspokoić zaryczanego Zenia.

– Cy tatuś wlóci?

– Oczywiście, że wróci.

– Dzisiaj?

– Nie dzisiaj, ale niedługo. Szymuś zrobi ci coś pysznego – popatrzyła na mnie błagalnie.

– Jasne – odparłem. – Na co miałbyś ochotę?

– Moze być klembule – mruknął łaskawie.

– Zeniu, to nie jest szybki deser – spróbowałem odwieść go od pomysłu.

– Chcę klembule – powtórzył z uporem.

WIJJJ! – przez okno wdarł się pojedynczy sygnał karetki pogotowia. Mama chwyciła kluczyki do samochodu, rzuciła: „Niedługo wróć!” i wybiegła, zderzając się w drzwiach z panią Marią.

– Niech pani będzie spokojna! – krzyknęła za nią sąsiadka. – Zajmę się chłopcami!

Odpowiedział jej tupot stóp na schodach.

Klembule



– Macie jakieś plany, chłopaki, czy improwizujemy? – pani Maria uśmiechała się ciepło.

– Symek złobi klembule – poinformował ją Zenio.

Pani Maria zmarszczyła czoło.

– Crème brûlée – wyjaśniłem.

– Aha – kiwnęła głową. – Z przyjemnością popatrzę. Może sama się czegoś nauczę?

Poszliśmy do kuchni, gdzie pod okiem dwójki czujnych obserwatorów zabrałem się do pracy. Polubiłem gotowanie i pieczenie dzięki mamie. To ona mnie wszystkiego nauczyła. Teraz gotujemy na zmianę, choć coraz częściej tylko ja. Mama niedawno awansowała na szefa kuchni w restauracji hotelowej, gdzie pracuje, i przybyło jej obowiązków. Wcale mnie to nie martwi. Uwielbiam gotować. Crème brûlée to mój popisowy deser, a Zenio za nim przepada.

Najpierw na małym ogniu zagotowałem w rondelku śmietanę z dodatkiem cukru i ziarenek wyłuskanych z przeciętej laski wanilii. Później ubiłem mikserem żółtka, a w międzyczasie nastawiłem piekarnik na sto stopni.

– Jak zgrabnie ci to wszystko idzie! – zachwyciła się pani Maria. – Dla mnie gotowanie to czarna magia. Mój świętej pamięci mąż mawiał, że świetnie potrafię tylko zagotować wodę i pokroić chleb – zamyśliła się. – Na szczęście jadł wszystko, co stawiałam na stole – uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Nie był wybredny, ale za każdym razem pytał: „Co ugotowałaś?”. Bardzo mnie tym irytował. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego ciągle o to pyta, aż wreszcie wyznał, że wszystkie moje dania smakują jednakowo, więc chociaż po nazwie chce mieć wrażenie, że je coś innego – pani Maria westchnęła głęboko. – Pewnie przeze mnie miał ten nieżyty żołądek.

– A jak nie żył to co? – Zenio, który wydawał się do tej pory całkowicie pochłonięty budowaniem wieży z klocków, zaskoczył nas swoją podzielnością uwagi godną kontrolera lotów na międzynarodowym lotnisku.

Pani Maria zastygła z wyrazem skupienia na twarzy. Jako rasowy pedagog próbowała znaleźć odpowiedź na tak postawione pytanie.

– Nie rozumiem – poddała się.

– A jak nie żył to co? – powtórzył ze spokojem Zenio.

– Jak nie Żyd? – podjęła kolejną próbę. – Nieżył! – wykrzyknęła nagle olśniona. – Nieżył to jedno słowo, Zeniu. Nazwa choroby żołądka – dodała, choć Zenio już wrócił do swojego zajęcia zupełnie niezainteresowany odpowiedzią.

Z wysuniętym z przejęcia językiem próbował ustawić raketę na czubku klockowej konstrukcji.

– Cholela jego mać! – zaklął siarczyście, gdy budowla runęła.

Pani Maria wciągnęła ze świstem powietrze.

– Pomóc ci? – spytała.

– Nie – stęknął zrezygnowany. – Zagłamy w *Zakłębione lobale*?

W trosce o zdrowie psychiczne pani Marii od razu wyjaśniłem, że grę *Zakręcone robale* Zenio ma w swoim pokoju. Gdy wyszli, przelałem masę przez sitko do foremek i wstawiłem do piekarnika. Później zacząłem porządkować kuchnię. Tego też nauczyła mnie mama: „Dobry szef kuchni nigdy nie zostawia po sobie bałaganu. Zawsze pamiętaj, żeby posprzątać stanowisko”.

– Tak jest, *chef!* – krzyknąłem z entuzjazmem do swoich myśli.

To dla mnie najlepsza zabawa pod słońcem. Garnki, patelnie, różne dziwne kuchenne przyrządy fascynowały mnie, odkąd pamiętam. Godzinami mogę patrzeć, jak mama czaruje w kuchni. Uwielbiam tworzenie oryginalnych i ciekawych potraw. Łączenie ze sobą różnych, pozornie niepasujących do siebie składników czy smaków. Kiedy gotuję i na moich oczach powstaje danie, czuję się wielki i wszechmocny. To niesamowite uczucie. Nie muszę nawet jeść swoich potraw. Najwięcej satysfakcji daje mi świadomość, że smakują komuś innemu.

Oczywiście zdarzają się i wtopy. W gotowaniu czas, proporcje i temperatura mają ogromne znaczenie. Jest tyle różnych czynników, które decydują o tym, czy danie się uda, czy nie.

Tym razem wyszło perfekcyjnie. Kiedy wyjąłem foremki z piekarnika, skórka na powierzchni była idealnie ścięta. Teraz trzeba było tylko schłodzić.

– I jak ci idzie? – pani Maria zajrzała do kuchni. – Zenio zajął się oglądaniem *Atlasu nieba* – wyjaśniła. – Nie przypuszczałam, że chłopiec w jego wieku może tyle wiedzieć na tak trudny temat.

– To jego pasja. Ten atlas zna już chyba na pamięć.

– Wszystko z nim w porządku?

– Nie rozumiem – spojrzałem zaskoczony. – Poza tym, że klnie i interesuje się kosmosem, to całkiem normalny dzieciak.

– Ech – sapnęła. – Nie to miałam na myśli. Czy on nie jest chory?

– Nie. Dlaczego miałby być chory?

– Bo wydaje się taki... – zawahała się – bledziutki.

Nie zdążyłem rozwiać jej obaw, bo Zenio stanął w drzwiach.

– To gdzie ten desel? – spytał, rozglądając się dokoła.

– Już podaję – odezwałem się, otwierając lodówkę.

Posypałem deser cukrem pudrem i opaliłem specjalnie do tego przeznaczonym palnikiem. Na koniec udekorowałem deser garścią świeżych malin i kilkoma listkami mięty.

– *Voilà** – zaszpanowałem francuskim, stawiając przed nimi deser.

– Szymku – westchnęła nabożnie pani Maria – to prawdziwe arcydzieło. – Rozbiła zastygłą skorupkę i zanurzyła łyżeczkę w miękkim wnętrzu. – Mhm... niebo w gębie. Jesteś mistrzem – rozpyłyła się w zachwytach, delektując się każ-

* *Voilà* (fr.) – proszę.

dym kęsem. – *Chapeau bas* – odpowiedziała francuskim na mój francuski i to był jej błąd.

– Dlaczego sa jest po ba, a nie psed? – zareagował natychmiast Zenio.

Pani Maria zamarła z łyżeczką w pół drogi do ust. Niemal słyszałem, jak jej szare komórki próbują przetrwać pytanie. Zrobiło mi się jej żal. W całej swojej długiej nauczycielskiej karierze na pewno nie spotkała nikogo takiego jak Zenio. Poza tym myślę, że mój młodszy brat nawet sztuczną inteligencję położyłby na łopatki swoim niekończącym się ciągiem „ajaków” i „dlaczków”.

– *Chapeau bas* – odezwała się pani Maria – to taki zwrot po francusku: „kapelusze z głów”.

– A jakie kap... – zaczął Zenio, ale pani pedagog już się odnalazła.

– Dawniej džent... eleganccy panowie nosili kapelusze, a zdjęcie lub uchYLENIE kapelusza – wykonała stosowny ruch ręką – było oznaką szacunku. Obecnie zamiast kapelusza, którego, jak widzisz, nie mam, można użyć tego zwrotu z tych samych powodów. Deser twojego brata zasługuje na szacunek. Nie uważasz?

– Uważam – potwierdził.

Przyznam, że pani Maria zaimponowała mi równie mocno jak ja jej swoim crème brûlée.

W tym momencie usłyszeliśmy zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych.

– Tata włócił! – wrzasnął Zenio i skoczył do przedpokoju.

Moja „godzina szczerości”



Zamiast spodziewanego taty do kuchni weszła mama.

– Dziękuję, pani Mario, że zajęła się pani chłopcami – odezwała się zmęczonym głosem. – Przepraszam, że tyle to trwało.

– Kochana – sąsiadka lekceważąco machnęła ręką – ile ja czasu spędziłam w szpitalach z moim świętej pamięci Marianem... – zamilkła raptownie, zdając sobie sprawę z popełnionej gafy. – Przepraszam. Nie to chciałam... – bąkała. – Jak się czuje pan Ksawery?

– W porządku – odparła mama. – Jest przytomny i trochę przestraszony. Na szczęście nie był to prawdziwy zawał, tylko takie ostrzeżenie.

– Oj to dobrze, to dobrze – próbowała zatrzeć poprzednie wrażenie pani Maria. – Zawsze mówiłam, że pan Ksawery delikatny i wrażliwy. Jak to artysta.